

**John
Ashbery
&
James
Schuyler**

**GNIAZDKO
DUDKÓW**

Przetłóżyli

**Tadeusz
Pióro
&
Andrzej
Sosnowski**



Wstęp

Czysty przypadek sprawił, że James Schuyler i ja zaczęliśmy pisać *A Nest of Ninnies*. Był lipiec roku 1952, kiedy wracaliśmy do Nowego Jorku z East Hampton, gdzie spędziliśmy weekend, goszcząc u autora musicalowych librett, Johna Latouche'a. Latouche zamierzał zrobić krótki film na podstawie scenariusza Schuylera, pod tytułem „Presenting Jane”, z nami i naszą przyjaciółką Jane Freilicher w rolach głównych. Nakręciliśmy już kilka scen, w tym jedną, w której Jane chodzi po wodzie (w rzeczywistości był to zatopiony pomost na jeziorze Georgica); film w całości nigdy nie powstał, choć scenariusz Schuylera niedawno się odnalazł i wkrótce ma być opublikowany. Tymczasem siedzieliśmy w samochodzie, który prowadził młody kamerzysta, Harrison Starr, a obok niego z przodu siedział jego ojciec.

Ponieważ ani Jimmy, ani ja Starrów zbyt dobrze nie znaliśmy, początkowo bawiła nas obserwacja podmiejskich pejzaży wzdłuż dawnej Sunrise Highway (było to, zanim powstała niesławna dziś Long Island

Expressway). Zaczynając się nudzić, Jimmy powiedział: – A może byśmy tak napisali powieść? – A jak mielibyśmy to zrobić, zapytałem. – To proste, ty piszesz pierwsze zdanie – brzmiała odpowiedź. Dla Schuylera było to dość typowe – wpaść na błyskotliwy pomysł, po czym zatrudnić kogoś innego, żeby wprowadził go w życie. Żeby nie dać się wystrychnąć na dudka, rzuciłem zdanie złożone z trzech słów: „Alice was tired”.

I tak się zaczęło przedsięwzięcie, które miało nas bawić przez wiele następnych miesięcy i lat. Jimmy od razu wymyślił drugą postać, Marshalla, drażliwego brata Alicji. Przejeżdżając przez miejscowość Smithtown, zauważyliśmy archetypowy podmiejski dom, biały z zielonymi okiennicami, i postanowiliśmy, że będzie to dom naszych bohaterów. Po powrocie do Nowego Jorku spotykaliśmy się regularnie, czasem kilka razy w tygodniu, żeby popracować nad „powieścią”. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że pewnego dnia zostanie opublikowana i że jacyś ludzie będą ją czytać – byliśmy wówczas nieznanymi, młodymi poetami bez publikacji i bez jakichkolwiek potencjalnych czytelników. Ale mieliśmy świetną zabawę, mnożąc postaci i zdarzenia, na ogół wypijając kilka drinków dla kurazu.

I tak to się toczyło, od przypadku do przypadku, przez kolejne trzy lata, dopóki nie dostałem, całkiem niespodziewanie, stypendium Fulbrighta we Francji, gdzie w zasadzie spędziłem następne dziesięć lat, z wyjątkiem zimy 1957/1958, kiedy byłem z powrotem w Nowym Jorku, uczęszczając na kursy podyplomowe z literatury francuskiej na New York University i ucząc francuskiego dla początkujących w obecnym Bronx

Community College. Tamtej zimy mieszkaliśmy razem ze Schuylerem, sporadycznie pracując nad powieścią. Mieszkanie było na piątym piętrze bez windy, czynsz wynosił 57 dolarów, co mogło mieć jakiś wpływ na to, że nasi bohaterowie wiodą życie względnie wolne od trosk materialnych.

W czerwcu następnego roku wróciłem do Francji, niby tylko na lato, ale w końcu zostałem tam jeszcze pięć lat, ani razu nie odwiedzając USA – decydującym czynnikiem znów były zarobki oraz moja ówczesna niechęć do podróży lotniczych. Kilka razy próbowaliśmy pociągnąć *Nest* korespondencyjnie, lecz nic z tego nie wychodziło. Wyglądało na to, że możemy robić to tylko wtedy, kiedy jesteśmy razem.

Wróciłem do Stanów na dobre pod koniec roku 1965. Wtedy miałem już wydawcę, Holta, oraz zaprzyjaźnionego redaktora, Arthura Cohena. W końcu nadszedł dzień, w którym zadał mi pytanie, jakie redaktorzy poezji często lubią zadawać: – Myślałeś kiedyś o tym, żeby napisać powieść? – Przypomniałem sobie o naszych wspólnych pracach z Jimmym, o których wówczas już rzadko myśleliśmy, i opisałem całą rzecz Arthurowi, który wyraził zainteresowanie. Właśnie takiego impulsu potrzebowaliśmy, więc znów z zapałem wzięliśmy się do pracy i po sześciu miesiącach, przynajmniej ku naszemu zadowoleniu, rzecz była gotowa. Postanowiliśmy nieco nagiąć nasze dotychczasowe reguły, żeby móc tego dokonać: zamiast pisać zdania naprzemienne, pozwoliliśmy sobie pisać solo tak długo, ile dusza zapragnie – nawet całe akapity. Arthurowi spodobał się

rezultat i książka wyszła wiosną 1968 roku u Duttona, gdzie Cohen już wtedy pracował.

Było kilka dobrych recenzji, zwłaszcza jedna Aude-
na, w „Times Book Review” – książka podobała mu się
może głównie dlatego, że nie ma w niej scen erotycz-
nych, co również mogło być jedną z przyczyn, dlaczego
nie wskoczyła na listy bestsellerów. Było też kilka mniej
przychylnych recenzji. Parę miesięcy później nakład
poszedł na przemiał i nie dano nam nawet możliwości
kupna przecenionych egzemplarzy – co, jak później od-
kryłem, nie jest szczególnie rzadką praktyką w świecie
wydawniczym.

Mam powody sądzić, że książka musiała stanowić
pewien problem dla wydawcy, który chciałby ją przed-
stawić działowi sprzedaży. Po pierwsze, brakuje nie tyl-
ko seksu, ale nawet czegoś na kształt fabuły. W począt-
kowych rozdziałach jakoś nam szło, kiedy zwracaliśmy
się do siebie głosami naszych *ninnies* (tytuł pochodzi
z elżbietańskiej *sottiserie*, którą wypatrzyłem w księgar-
skim katalogu). Przecież w końcu zaczęliśmy to pisać
po prostu dla zabawy. Kiedy pojawiła się perspektywa
publikacji, ciągnęliśmy tak dalej z nadzieją, że innych
też może to rozbawić. Co chyba rzeczywiście się stało,
skoro książka miała już trzy wydania, nie licząc obec-
nego. Jedno brytyjskie; przekład niemiecki (*Ein Haufen
Idioten*), a także hiszpański, w przygotowaniu.

Staraliśmy się również, być może bezwiednie, od-
tworzyć świat naszego dzieciństwa, które spędziliśmy
w małych miasteczkach na zachodzie stanu Nowy
Jork w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Słuchow-
iska radiowe (szczególnie „Vic and Sade” oraz „Easy

Aces”, łagodnie uszczypliwe parodie życia w Ameryce, zarówno małomiasteczkowej, jak i wielkomiejskiej), czasopisma („Life” i „Good Housekeeping”), blichtr dzielnic rozrywki, neony kin z tytułami filmów, innymi co dwa, trzy dni – to były te efemerydy, które przychodziły nam na myśl w czasie pisania i które dziś zapewne mogą wymagać przypisów. Kto dzisiaj pamięta Milтона Crossa, Evelyn i Jej Czarodziejskie Skrzypce, czy też diwę operetki, Martę Eggerth (choć ta, teraz już po dziewięćdziesiątce, właśnie opublikowała książkę wspomnień)? Może ktoś znowu sobie ich przypomni. Albo, jak napisał Wergiliusz: „Może i to miło będzie kiedyś wspomnieć”.

John Ashbery

Rozdział pierwszy

Alicja była zmęczona. Zanim się odezwała, ospale i z irytacją odwróciła głowę, żeby popatrzeć w swoje oczy w lustrze nad kominkiem.

– Nie cierpię mieszkać pięćdziesiąt mil od wielkiego miasta. Pojęcia nie mam, ile samochodów przejeżdża każdego dnia, i zaczynam się zastanawiać.

Marshall uśmiechnął się i dalej ściągał plastikową folię z szeregu naczyń, które właśnie wyciągnął z lodówki. Rozrzucając poły podomki, Alicja zbliżyła się do kuchennego stołu i porwała skrzydełko.

– Pojęcia nie mam, co ty możesz trzymać w tej lodówce, że wszystko ma taki dziwny posmak.

– To na pewno ta połówka melona, której nie zjadłaś – przyjaźnie odparł Marshall – choć sam nie wiem, jakim cudem z tą folią.

– Jeżeli myślisz, że uda ci się czegoś dowieść, to się mylisz. Chyba że chcesz powiedzieć, że nie jem, bo jestem nieszczęśliwa, z czym chętnie się zgodzę.

– Alicjo, bardzo cię proszę, nie kładź tych kości z powrotem do miski.

– Przyznaj, że gwizdziesz na mój smutek.

– Kolacja z resztek to średnia przyjemność, ale taką się płaci cenę za podejmowanie gości. Mógłbym z tego zrobić zapiekankę, ale przecież ciągle powtarzasz, że lubisz wiedzieć, co jesz. Wczoraj wieczorem nie wydawałaś się taka znowu smutna.

– A co niby się zdarzyło wczoraj wieczorem? Chyba nie chcesz powiedzieć, że kolacja na wynos i partia remika mogą poprawić mi nastrój?

Marshall bez słowa wrzucił surówkę z kapusty do naczynia, w którym była już ćwikła. Alicja podeszła do okna i patrząc przez szybę, zdawała się niemo komentować rozpościerający się przed nią widok. Za żywopłotem sześciopasmową autostradą waliły samochody w kierunku elektryzującego Nowego Jorku.

– Jeśli nakryjesz do stołu – rzekł Marshall – będziemy mogli jeść.

Oszołomiona Alicja odwróciła się od okna i jak we śnie zaczęła wykladać kalifornijską zastawę.

– Mówiąc poważnie, to wolę jeść w stołowym – powiedział Marshall. – Jest przyjemniej.

– Słuchaj, Fifi – odparła Alicja – przestańmy się oszukiwać. Chcę pojechać do miasta.

– Gdzie się podział koszyk na chleb? Jest gorący.

– Marshall, chcę pojechać do miasta.

– W mieście wieczorem nie ma co robić. A poza tym i tak muszę tam jeździć dzień w dzień – dodał mruklawie.

– Skoro już się gniewasz, to może zdobędziesz się na szczerłość: czy nie jest ci źle?

– Nie, i nie sędzę, żeby spędzanie czasu na rozmyślaniach o tego typu rzeczach było najlepszym pomysłem.

– A niby jak miałabym spędzać czas... jedząc?

– Kochanie, widzę, że jesteś dziś nie w sosie, więc jeśli masz ochotę pójść do kina, proszę bardzo. Nie miałbym nawet nic przeciwko temu, żebyśmy pojechali do miasta, oczywiście pod warunkiem, że nie weźmiemy samochodu.

Alicja bez słowa wrzuciła trochę jedzenia na talerz.

– Chleb wyschnie na wiór, jeśli koszyk zaraz się nie znajdzie.

– Kto wie, może wyrzuciłam go z resztkami chrupek?

Marshall poczuł się dotknięty. Wtem spostrzegł koszyk, który z tyłu kuchenki podpierał pismo „Life”, otwarte na rozkładówce ze zdjęciem przedstawiającym profil Nowego Jorku na tle nieba. Postawił chleb na stole i przez kilka minut panowała złowroga cisza. Wkrótce oboje zdali sobie sprawę, że w domu zaczęło się robić całkiem zimno.

– Zapewne znowu zapomniałam pogrzebać w piecu – powiedziała Alicja. Nie ruszali się z miejsc. – Zapewne powinnam pójść w nim pogrzebać albo mu się przyjrzeć. – Odepchnęła ćwikłę, której Marshall jej nie proponował. – Zapewne gdybym chciała pójść do kina, próbowałbyś zaciągnąć mnie na jakiś film, który grają u nas we wsi.

– Chyba myślisz, że jestem uosobieniem cierpliwości – rzekł Marshall. Nagle usłyszeli ciche pukanie do

kuchennych drzwi. Alicja podniosła się od stołu i poszła do piwnicy. Marshall ostrożnie sunął na spotkanie gościa. W drzwiach stała mała, młoda ślicznotka.

– Przypuszczam, że właśnie jecie – mówiła – i zachodzicie w głowę, dlaczego dobijam się do bocznych drzwi.

– Na ogół jadamy w stołowym – odparł Marshall, patrząc na kilka płatków śniegu, który akurat zaczynał padać. – Śnieg przypomina mi dzieciństwo – bąknął, zatraskując drzwi, gdy panna weszła do nieoświetlonej kuchni.

– Zdaje się, że ktoś usiłuje rozwalić wasz piec – wymamrotała prawie już niewidoczna dziewczyna. – W radiu mówili, że będzie padał śnieg, więc przyszedłam. Nie było światła od frontu.

– Nie miałabyś ochoty usiąść i coś przekąsić? – spytał Marshall, powstrzymując ziewnięcie. – Jemy w kuchni, żeby oszczędzić na ogrzewaniu. Alicja lubi, jak zostaje coś na koncie.

Dziewczyna szczerze otuliła się futrem i oglądała izbę z widocznym zainteresowaniem. – Uważam, że kominek w kuchni macie bardzo śliczny i dzięki niemu jest tu miłutki pokój.

– Oczywiście nie usiłowaliśmy niczego zmieniać w tym starym domu, nie licząc paru drobnych napraw. – Marshall jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności młodej kobiety. – Chciałem zamurować kominek, żeby tak nie ciągnęło, ale tyle osób wypowiadało się na jego temat, że postanowiliśmy go zostawić.

– Zdaje się, że nie macie tu zbyt wielu gości.

– Spójrz, śnieg wpada nim do środka.